

CHCIAŁAM, ŻEBY POLSKA BYŁA KRAJEM, KTÓRY POTRAFI OKAZAĆ SOLIDARNOŚĆ

– z Panią Janiną Ochojską, o rzeczach istotnych, przy kawie prosto z Wysp Salomona, rozmawia Michał Kolasa.

Michał Kolasa: Na wstępie jeszcze raz bardzo dziękuję za zaproszenie do własnego domu i czas na chwilę rozmowy ze mną.

Janina Ochojska: Jest mi bardzo miło, że zainteresowałeś się tym, co robiłam i robię.

MK: Pozwoli Pani, że przejdę zatem do pytań. Proszę mi powiedzieć, kiedy pojawiła się u Pani chęć pomagania w sposób zorganizowany, na większą skalę?

JO: Myślę, że to jest kwestia wychowania, ale moja niepełnosprawność też ma z tym coś wspólnego. Jako dziecko zachorowałam na polio i większość dzieciństwa spędziłam w sanatoriach. Wychowywano nas tam w takim duchu, że trzeba sobie pomagać. Moje koleżanki miały niesprawne ręce, nogi, mieliśmy różne obowiązki i wychowawcy uczyli nas, że trzeba sobie pomagać. Studia to był czas taki bardziej egoistyczny. Nasz duszpasterz mówił nam, że najpierw



Przy wspólnym stole Pani Janina i autor

musimy dużo „nabrać w siebie”, żeby później móc oddawać. Po studiach miałam bardzo duże problemy z kręgosłupem i wtedy trafiłam do Francji. To był właściwie taki moment przełomowy. Poznałam fundację Amitié Pologne, (przekształciła się później w fundację EquiLibre – przyp.), która pomagała Polsce w czasie stanu wojennego. Organizacja ta działała w tym czasie przede wszystkim na terenie Krakowa i szukali ludzi, którzy pomogą im rozwinąć tę działalność pomocową również na inne regiony. Ja zostałam wolontariuszką na teren toruński. Przyjeżdżały tutaj transporty z pomocą i mnie bardzo ciekawiło, jak jest organizowana ta pomoc. Widzieliśmy ciężarówki wypełnione nowymi rzeczami. Fundacja specjalizowała się w pomocy dla dzieci, więc było to m.in. mleko w proszku, różne odżywki czy pieluchy. Zastanawiałam się wtedy czy oni podjeżdżają do jakiejś fabryki, czy ktoś im to daje, czy kupują, a jeżeli tak, to skąd mają na to pieniądze. Kiedy w 1991 roku wybuchła wojna w Bośni fundacja pomagała również tam. W Polsce takiej pomocy nie organizowano. Byłam we Francji, gdy ogłosili, że z Bośni zaproszą 1000 dzieci do rodzin francuskich. Zgłosiłam się z chęcią pomocy. Najpierw odbierałam telefony od chętnych, wypełniałam formularze. Zgłosiło się 30 tys. Rodzin, które chciały gościć te dzieci. Skala była niesamowita. Trzeba było zadbać o wiele szczegółów na miejscu, bo było wiadomo, że wojna może potrwać długo i część z tych osób będzie chciało we Francji pozostać. Trzeba też było zorganizować ludzi, którzy z transportem po te dzieci pojadą. Należało też zadbać o żywienie wszystkich w czasie podróży. Zgłosiłam się do szefa organizacji, żeby mnie zabrali ze sobą. Mogłam być pomocna, znałam języki, w tym rosyjski a ten serbsko-chorwacki był do rosyjskiego trochę podobny. Było to dla mnie ogromne przeżycie. Pierwszy raz byłam w kraju, w którym toczy się wojna. Przez dwa dni mieszkałam w obozie dla uchodźców. Byłam odpowiedzialna za grupę osób w moim autobusie.

Pojazdami wynajętymi w Sarajewie podróżowały dzieci z matkami lub babkami. Mężczyzn nie wolno nam było zabierać, oni z wiadomych powodów zostawali na miejscu. Bardzo to przeżyłam. Podróżowaliśmy po terenach objętych wojną, trzeba było dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo tych ludzi. Byłam tam z osobami, które kiedyś pomagały Polsce i pomyślałam, że trzeba się jakoś odwdziaczyć za tę pomoc. Pomyślałam, że przecież nie będziemy pomagać Francuzom, bo oni pomocy nie potrzebują, a trzeba pomóc tym ludziom, którzy teraz pomocy potrzebują. Postanowiłam wtedy zorganizować pomoc z Polski. Często spotykam się z młodymi ludźmi, którzy mówią, „to niemożliwe”. Kiedy zorganizowałam ten konwój, to byłam tak jak ty, tylko starsza. Nie miałam pieniędzy, ludzi, ciężarówek. Nie miałam kontaktów, skąd wziąć dary, kto mi to da. Uważam jednak, że jak człowiek chce coś zrobić, to zawsze znajdzie się sposób na zrobienie tego. Pojechałam wtedy do Warszawy i spotkałam się z Konstantym Gebertem¹. To był dziennikarz, który napisał artykuł, w którym zawarł taką tezę, że o ile w czasie II wojny światowej niektórzy mogli nie wiedzieć o obozach koncentracyjnych, to o wojnie w Bośni już wszyscy wiedzieli. Czytaliśmy artykuły o tej wojnie, widzieliśmy zdjęcia wychudzonych ludzi w obozach w Sarajewie. I on napisał, że jeżeli dzisiaj ktoś nie reaguje, to jest winien tej zbrodni. No to ja mówię, „nie, ja nie!” (nie jestem winna tej zbrodni – przyp.). Pamiętam jeszcze, że wtedy do Kostka przyszła jakaś starsza pani, uczestniczka powstania warszawskiego, żeby zapytać, co można dla tych ludzi zrobić. To była Magda Grodzka². Kostek umówił mnie z dziennikarzem III programu Polskiego Radia, a ten od razu zaprosił mnie na antenę. Wyniknęło drobne nieporozumienie, bo w radio podałam numer telefonu do Pani Magdaleny. Kiedy chciałam ją za to przeprosić, okazało się, że nie mogę się do niej dodzwonić. Telefon był wciąż zajęty, bo tylu było chętnych do pomocy. Pojechałam do niej do domu. Ze mną pojechał też ten dziennikarz, bo już czuł, że coś się świeci. U Magdy już był chłopak, który zgłosił się jako wolontariusz. To był Tomek Wilk, z którym później tworzyłam Polską Akcję Humanitarną. To u Magdy mieliśmy swoje pierwsze biuro i magazyn w jej sypialni. Potem magazyn przenieśliśmy do pobliskiej parafii, a następnie do szkoły przy Bednarskiej. 26 grudnia, niedawno była rocznica, wyjechał pierwszy konwój. To był 1992 rok. No i wtedy wszystko już było właściwie „pozamiatane”. Ja, co prawda, jeszcze myślałam, że wyślemy jeszcze tylko jeden konwój, bo jak wróciliśmy po dostarczeniu pierwszego, to ludzie już się zorganizowali i przygotowali kolejne 4 ciężarówki. Ten konwój został ostrzelany, jedna osoba została zabita, a dwóch naszych kierowców zostało rannych. Wtedy pojawił się dylemat, czy kończymy, czy idziemy dalej. Oczywiście poszliśmy dalej. Pod koniec 1993 roku przyznano mi tytuł Kobiety Europy. Jak wróciłam, to na lotnisku już było mnóstwo dziennikarzy. Kolejne wywiady i już wtedy było łatwiej, bo ludzie już wiedzieli. A pomoc humanitarna i w ogóle pomaganie, to jest coś takiego, że jak już raz człowiek w to wejdzie, to trudno wyjść. I w ten sposób moje życie się zmieniło.

Pomoc humanitarna i w ogóle pomaganie, to jest coś takiego, że jak już raz człowiek w to wejdzie, to trudno wyjść.

¹ Konstanty Julian Gebert - ps. „Dawid Warszawski” – polski psycholog żydowskiego pochodzenia, tłumacz, dziennikarz i nauczyciel akademicki.

² Magda Grodzka-Gużkowska – polska pisarka, terapeutka dzieci autystycznych i działaczka społeczna, uczestniczka powstania warszawskiego, działaczka Żegoty, odznaczona tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

MK: Pani Janino (Pani Poseł na początku zaznaczyła, żeby tak się niej zwracać, gdyż nie lubi oficjalnych tytułów – przyp.), proszę mi przybliżyć, czym jest Polska Akcja Humanitarna i czym się zajmuje.

JO: Przez pierwsze dwa lata działaliśmy w Polsce, ale w ramach francuskiej Fundacji EquiLibre. Dopiero 2 lata później zarejestrowaliśmy Polską Akcję Humanitarną. Kiedy działaliśmy jako EquiLibre, to wszyscy właściwie widzieli tylko tę francuską nazwę. Nawet w gazecie wychodzącej w Sarajewie napisano, że konwój był z Francji. Byliśmy oburzeni, bo wszystko było przecież z Polski, a nie z Francji. Dlatego postanowiliśmy zarejestrować naszą własną organizację i stało się to w grudniu 1994 r. Jest to organizacja, która niesie pomoc humanitarną, ale my działamy szerzej, bo udzielamy także pomocy rozwojowej. Na przykład budowa studni w Sudanie Południowym to takie działanie pośrednie. Z jednej strony pozwala na to, żeby woda była na miejscu, nie trzeba jej dowozić, a z drugiej strony, pozwala na rozwój. Wcześniej miejscowa ludność karczowała busz, próbując coś uprawiać. Kiedy odwiedziłam po półtora roku wsie, gdzie budowaliśmy studnie głębinowe, to już były zielone wioski. Przy domach ogródki z warzywami, bo uczyliśmy też ludzi uprawy, rozdawaliśmy nasiona. Już powstawało targowisko, bo niektórzy mieli tych warzyw więcej, więc mogli je sprzedawać. Wtedy już ktoś mógł sobie kupić maszynę do szycia, ktoś inny naprawiał klapki. Powstawał taki rynek. Była to więc taka działalność pośrednia. Mimo że mamy w nazwie „humanitarna” to nigdy nie ograniczamy się do rozdawania czegoś gotowego. Inna sprawa, kiedy dotyczy to strefy działań wojennych, gdzie ludzie żyją w obozach i trzeba im dostarczyć wszystko, żywność, wodę, tak jak na przykład w Czeczenii, gdzie dostarczaliśmy wodę w mieście Grozny. Tworzyliśmy tam też miejsca pracy, bo zatrudnialiśmy prawie 60 osób, które zajmowały się nie tylko dostarczaniem wody, ale i budową toalet przy szpitalach, oczyszczaniem szamb. Pomagaliśmy też odbudowywać np. ujęcia wodne w Syrii czy Strefie Gazy, które były niszczone w czasie wojny. Niesiemy zatem pomoc nie tylko humanitarną, ale i rozwojową.

MK: Bardzo dziękuję. Teraz zapytam o rzecz, która mnie bardzo nurtuje. Czy w czasie Pani wyjazdów pojawiały się zagrożenia dla Pani i Pani współpracowników? Czy bała się Pani tak, że myślała, żeby nie jechać?

JO: Specjalizujemy się w pomocy w krajach, gdzie toczą się wojny albo jakieś lokalne konflikty zbrojne. Przykładowo w Sudanie Południowym, ze względu na toczące się walki, dwukrotnie ewakuowaliśmy naszych pracowników. Na szczęście nikt nie doznał jakiegось urazu. Niestety teraz, w Ukrainie, zginęła w trakcie bombardowania jedna z naszych lokalnych pracownic. Muszę powiedzieć, że od samego początku mieliśmy wypracowane zasady, które pozwalały nam unikać jakichś większych zagrożeń. Ja często bywałam w Groznych, gdzie były bombardowania, ataki na rosyjskie posterunki. Nie mogę powiedzieć jak inni, że kula świsnęła mi koło ucha, ale tak, zagrożenie było. Muszę jednak powiedzieć, że jak się ktoś decyduje na taki wyjazd, na pomaganie w takim regionie, to strach musi być czymś, co powoduje czujność, a nie obawy o to, że zostanie się zabitym. Oczywiście pracownicy humanitarni giną w misjach, rocznie to jest około 100 osób, ale to też nie jest praca jak inne. Nie jest to zawód bezpieczny. U nas na przykład jest zakaz prowadzenia pojazdów przez naszych kierowców w rejonie naszego działania. Nie dlatego, że nie potrafią, ale lokalni kierowcy zawsze wożą nas takimi drogami, że możemy zagrożenia uniknąć. Jak się zgubimy to lokalny kierowca zna język i się szybko dogada. Oni wiedzą, gdzie może być zagrożenie i takie miejsca omijają. Jak w Sudanie Południowym spadnie deszcz, to drogi stają się bardzo niebezpieczne, śliskie. Miejscowy kierowca wie, jak i umie się po nich poruszać. Kiedy przychodził do nas człowiek

i mówił, „ja się niczego nie boję, mogę jechać nawet na wojnę”, to takich „bohaterów” unikaliśmy. Sprawa bezpieczeństwa to jest podstawa dla organizacji humanitarnej.

MK: Kolejne pytanie, jeżeli Pani pozwoli. Czy zdarzały się Pani chwile zwątpienia, że powiedziała Pani, „to nie ma sensu”?

JO: Powiem szczerze, że ani razu. O to mnie często dziennikarze pytają, czy pytali, bo moja praca ma teraz inny charakter. Ja robiłam coś, w co wierzyłam i w co wierzę nadal. Uważam, że taka pomoc może zmienić życie ludzi w sposób trwały. Jestem też z przekonana o tym, że my ponosimy część winy za to, jak ludzie w krajach najuboższych żyją. Po pierwsze to my wpływamy na zmiany klimatyczne, a ich skutki odczuwają ludzie w najuboższych krajach – to jest nasza odpowiedzialność. Poza tym wojny są często skutkiem jakiejś polityki i może nie ponosimy np. winy za wojnę, która toczy się w Sudanie, ale jest coś takiego jak solidarność międzynarodowa, a my mamy tę możliwość, że możemy pomagać. Jesteśmy bogatym krajem, więc możemy mieć na to środki. Jesteśmy bezpiecznym krajem więc taka odpowiedzialność za świat jest czymś bardzo ważnym i my, Polacy, się cały czas tego uczymy. To bardzo szybko się rozwija. Teraz mamy zbiórkę na pomoc w Strefie Gazy i ludzie wpłacają pieniądze. Nie trzeba tutaj specjalnych zachęt, ale za tym stoi też konkretna praca. Musimy pokazać, że potrafimy pomóc w tym rejonie, ale to już są lata doświadczeń. Te 30 lat to już dobrze nam „robi”.

MK: Za swoje wybitne osiągnięcia była Pani wielokrotnie wyróżniania. Co Pani czuła, kiedy dowiedziała się, że została Kobieta Roku w Europie?

JO: Czułam przede wszystkim dumę. Każda kobieta prezentowała swój kraj i swoją działalność. Ja powiedziałam, że my, z kraju, który otrzymywał pomoc, stajemy się krajem, który tę pomoc daje i w ten sposób dołączyliśmy do krajów pomagających.

Jestem dumna z tego, że Polska jest krajem, który pomaga.

Wprawdzie byliśmy początkujący, ale to jakoś jury zachwyciło. Ja naprawdę jestem dumna z tego, że Polska jest krajem, który pomaga. Może jeszcze nie na taką skalę jak robią to Szwecja, Niemcy czy Holandia, ale w Polsce my już nie jesteśmy jedyną organizacją, są jeszcze dwie duże organizacje: Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej i Polska Misja Medyczna. Są też małe organizacje, które pomagają doraźnie. Na przykład ktoś był w Afryce i nie ma tam szkoły, no to budują szkołę, albo ją remontują. Jeżdżą wolontariusze, którzy uczą angielskiego w jakichś wioskach. To jest pomoc mniejsza, ale też jest ważna, każda pomoc jest ważna. Każdy pomaga na taką skalę, na jaką go stać. Ja bardzo chciałam, żeby Polska była krajem, który potrafi okazać solidarność. Uważam, że taki cel osiągnęłam właśnie poprzez działalność Polskiej Akcji Humanitarnej. Teraz mam kolejne zadanie, aby pokazać, jak się prowadzi politykę migracyjną, żeby nie straszyć migrantami.

Bardzo chciałam, żeby Polska była krajem, który potrafi okazać solidarność.

MK: Dziękuję uprzejmie. Może teraz zapytam o to, czy tęskni Pani za swoją pracą jako astronom? Na co dzień widziała Pani i widzi nadal ludzkie cierpienie, patrząc w gwiazdy, jest chyba łatwiej?

JO: Hmm... myślę, że tak, łatwiej. Muszę powiedzieć, że czytam pismo „Urania”, więc osiągnięcia w dziedzinie astronomii nie są mi obce, ale gdy przeprowadzałam się z Krakowa, w czasie pakowania, przeglądałam swoje studenckie zapiski. Dzisiaj już pewnie nie rozwiązałabym niektórych równań kwantowych (śmiech Pani Janiny i autora), bo praktyka

czyni mistrza. Los indywidualnego człowieka jest bardzo ważny, ale jak będę chciała pomóc Krysi, Zosi czy dwóm innym chłopcom, to ta pomoc nie rozwinie się tak, jak mogłaby się rozwinąć w ramach pomocy humanitarnej, w organizacji. Ja miałam takie zapędy. Kiedy pierwszy raz byłam w Sudanie, to tam okazało się, że rodzice muszą płacić za naukę. Niewielkie pieniądze, miesiąc uczęszczania dziecka do szkoły to jakieś 10 zł. Co to jest dla nas 10 zł, więc miałam takie pomysły, żeby finansować takie nauczania. Szybko jednak zrozumiałam, też po rozmowach z innymi ludźmi, że to jest niewłaściwe, bo w ten sposób wyróżnimy jakieś jedno dziecko, a naszym zadaniem tak naprawdę jest pomoc tej szkole. Znajdowaliśmy inne sposoby, apelowaliśmy i ludzie wpłacali pieniądze. Muszę zauważyć, że takie indywidualne pomaganie tworzy jednak zobowiązania. Uczymy więc: tego, że jak człowiek jest na misji i widzi obdarte dziecko i da mu funta czy cukierka, to nie jest pomoc. I tego nie wolno robić. Bo zobaczy to inne dziecko. Może ma się dziesięć cukierków, ale w końcu jest się otoczonym przez grupę dzieci, które domagają się czegoś, bo też chcą dostać. Wystarczy, że jakieś dziecko się przewróci, złamie rękę i wtedy obwiniany o to jest ten człowiek. Wtedy zrozumiałam, że taka pomoc indywidualna nie jest właściwa. W takim widzeniu całości pomagała mi astronomia, bo tak, patrzę z punktu widzenia astronoma. Widzę to jako całość. Czy tęsknię, powiem tak: może wyjdzie, że się chwale, ale takie też są fakty, że w dziedzinie humanitarnej osiągnęłam wiele, jak na Polskę, i to mnie cieszy, bo widzę, że moje życie było użyteczne. Wątpię, żebym miała takie osiągnięcia w astronomii, bo do tego już trzeba naprawdę tężych umysłów. Zrobiłabym doktorat, pracowałabym nadal na uczelni, ale czy osiągnęłabym coś, co byłoby ważne dla ludzi? Oczywiście uważam, że osiągnięcia w astronomii są bardzo ważne, bo żyjemy we wszechświecie i bardzo ważne jest jego poznanie. Niemniej jednak, jak człowiek podjął już jakąś decyzję i już coś robi, to zawracanie, to jest takim zawracaniem głowy. Jak już podjęło się jakąś decyzję, to już trzeba „cisnąć”. Zawsze chciałam być astronomem, ale życie zdecydowało trochę inaczej.

Widzę, że moje życie było użyteczne.

MK: I dla świata to chyba lepiej.

JO: Dla świata, może. Na pewno dla Polski.

MK: Pani Janino, od ponad ćwierć wieku pomaga Pani ludziom na całym świecie. Nie każdego stać na takie bezinteresowne działania, a Pani jest trudniej, bo ze zdrowiem nie zawsze jest najlepiej. Czuje się Pani bohaterem?

JO: Nie i nie czaruję w żaden sposób. Robię to, co potrafię. Umiem namówić ludzi do tego, żeby przysyłali nam pieniądze. Istotną jest umiejętność zorganizowania tej pomocy, osobiście prawie każdą misję zakładałam. Teraz już nie, ale w każdym z tych krajów, gdzie pomagamy, byłam i przez to stawałam się świadkiem. Ja nie mówiłam teoretycznie o tym, co się dzieje w Czeczenii czy Sudanie Południowym, tylko byłam tego świadkiem. Mówiłam o tym, co widziałam, co przeżyłam i widziałam skutki tej pomocy. Traktowałam to jako ciekawe wyzwania, byłam uczestnikiem zmian, a to jest bardzo ważne, to coś, co można zrobić dla innych. Myślę, że ty też chciałbyś się w życiu czuć potrzebny, bo jeżeli jest inaczej, to jest jakoś dziwnie. A ja czuję się potrzebna. Pomimo że jestem osobą niepełnosprawną od dzieciństwa, to pokazuję innym ludziom, że nie ma barier. Nawet teraz, jak byłam na Wyspach Salomona (jako uczestnik delegacji Parlamentu – przyp.) to w czasie spotkania w szkole, kiedy rodzice dzieci niepełnosprawnych uczących się w niej, widzieli, że jest osoba na wózku, która jest w Parlamencie, która przyjeżdża do ich parlamentu, to mają nadzieję, że może ich

dzieci też coś osiągną. Człowiek nigdy nie wie, co w nim drzemie. Teraz kiedy jeżdżę na wózku, to widzę, ile jest barier. W Toruniu są dwa duże kina. Mogę do nich wjechać, ale nie mogę oglądać filmu. Jedyne miejsce, gdzie mogę się dostać to miejsce na parterze, poniżej pierwszego stopnia, na którym są krzesła. Oglądanie z tej pozycji filmu na dużym ekranie jest niemożliwe. Nie wszystkie filmy są z napisami, więc osoby niesłyszące też nie mogą w tym uczestniczyć. Nawet ostatnio mówiłam do znajomej, że napiszę książkę o toaletach w Polsce (śmiech Pani Janiny i autora – przyp.). Choćby to, że w toaletach najczęściej jest jedna poręcz, a mnie na przykład potrzebne są dwie. W hotelach nie można dosięgnąć z wózka do mydła, lustro jest za wysoko. Nie, żebym się specjalnie przeglądała, ale uczesać się bym chciała (śmiech Pani Joanny i autora). To są niby drobiazgi, ale to świadczy o tym, że ktoś nie pomyślał. Jest sporo do zmienienia. Nie wymagam, żeby ktoś zwracał na to szczególną uwagę, bo to do mnie należy, żeby wytłumaczyć. Jak osoba jest sprawna, to nie zwraca uwagi na pewne rzeczy, np. nie musi liczyć, ile jest stopni.

MK: Pani Janino, bardzo dziękuję za poświęcony czas i bardzo pouczającą rozmowę, w przesympatycznej atmosferze.

Michał Kolasa
KSP SPSK w Dąbrowie Górniczej
III miejsce